



## PREZENTUJĄ SUBIEKTYWNY ODBIÓR RZECZYWISTOŚCI PRZEZ AUTORA I NIE POWINNY BYĆ UTOŻSAMIANE Z OFICJALNYM STANOWISKIEM WIL KRZYSZTOF OŻEGOWSKI

Członkostwo w Unii Europejskiej niewątpliwie daje Polsce i Polakom wiele korzyści. Jednakże korzyści te nie powinny przesłonić nam absurdów, które funduje UE. Wszyscy śmiałyśmy się z wymiarów ogórków czy zalecaniej krzywizny bananów – tak na marginesie: życie wymusiło na UE zmianę podejścia do tych kwestii. W Polsce tzw. dyrektywy unijne są bardzo często używane jako wytłumaczenie kretyńskich regulacji prawnych. Szkopuł w tym, że nasi „dzielni” prawodawcy wielokrotnie występują „przed orkiestrę” i fundują nam rozwiązania, które są tylko zaleceniem lub wręcz daleko siężnym celem, a nie bezwzględny wymóg tu i teraz. Niestety, wielokrotnie Unia zachowuje się, jakby zjadła wszystkie rozumy. Ostatnio mamy efekty takiego „unijnego” myślenia. Nagle w Polsce, która jest cukrową potęgą, zaczyna brakować cukru i jego ceny gwałtownie rosną. Wielu zadaje sobie pytanie – jak to możliwe. Niestety, jest to efekt krótkowzrocznego myślenia unijnych urzędników, którzy postanowili ograniczyć nie tylko produkcję cukru, ale także areał upraw buraka cukrowego (z którego, jak wiadomo, w Europie produkuje się cukier), zakładając, że w razie braków cukru sprowadzi się go z krajów uprawiających trzcinę cukrową (pytanie, po co te kombinacje, pozostało bez odpowiedzi). Niestety, eurobiurokraci nie przewidzieli, że na wzrost zapotrzebowania na cukier w Europie może nałożyć się klęska nieurodzaju w krajach produkujących cukier z trzciny cukrowej, jak to się właśnie stało. Dodatkowym czynnikiem, który winduje ceny, jest fakt, że choć produkujemy więcej cukru niż przyznany limit, nie możemy go sprzedać w kraju, tylko musimy wyeksportować poza Unię, gdyż nie ma regulacji pozwalających w nagłych sytuacjach

szybko reagować i sprzedać nadwyżki w kraju.

Kogoś pewnie zdziwi ten, zapewne nieco przydługi, akapit o cukrze w czasopiśmie dla lekarzy. Wyjaśnienie pojawi się poniżej. Wielu z nas trapi się w tej chwili (tzn. w momencie, gdy piszę te słowa) koniecznością złożenia sprawozdania „o sposobach gospodarowania odpadami”, które to sprawozdanie wymusza na nas „ustawa o odpadach”. Jak wyjaśniło prezesowi Hamankiewiczowi Ministerstwo Środowiska, konieczność „surowego traktowania obowiązku sprawozdawczego” wynika z „niskiej jakości danych dotyczących gospodarki odpadami w Polsce”. Ponieważ te dane służą jako materiał do sprawozdań dla Komisji Europejskiej, na podstawie których ta (komisja) tworzy statystyki odpadów. Ponieważ „jakość danych dotyczących odpadów medycznych” budzi poważne zastrzeżenia, ministerstwo uważa, że

nadal należy ich wymagać i karać za brak sprawozdań, choć przyznaje, że w związku ze zmianą dyrektywy unijnej kary mogą się zmienić. Mogę zrozumieć podejście ministerstwa do tematu, jednakże pozwolę sobie zauważyć, że taki punkt widzenia „tworzy” odpady niebezpieczne tam, gdzie ich faktycznie nie ma. Wskutek ustawy o odpadach i zakwalifikowaniu wszystkich materiałów mających kontakt z „płynami ustrojowymi” jako odpady niebezpieczne tylko dlatego, że do tego kontaktu doszło w gabinecie lekarskim albo w szpitalu, tworzymy fikcyjny byt, który jednakże jest bardzo szkodliwy dla środowiska. I nie mam tu na myśli „środowiska lekarskiego”, gnębięcego obowiązkami sprawozdawczymi i ewentualnymi karami, tylko nasze „ziemskie” środowisko. Nie wiem, czy „dzielni” urzędnicy ministerialni i ich terenowi pretorianie zdają sobie sprawę, że takie podejście do tematu czyni, tak naprawdę, więcej szkody niż pożytku!

**UWAGA: Osoby o słabych nerwach, bądź „obrzydlive” proszone są o pominięcie poniższego akapitu.**

Wszyscy doskonale wiemy, że podpaski i tampony zużywane co miesiąc przez kobiety, pieluchy setkami zanieczyszczane przez maluchy i tych na drugim końcu „krzywej Gaussa” życia, są o wiele większym źródłem „poten-



cialnego” zagrożenia niż szpatułka czy jednorazowy wziernik używane w gabinecie lekarskim. Jednakże ani kobiety, ani dzieci nie muszą składać oświadczeń o „produkcji i utylizacji odpadów”. Niestety, w efekcie paranoicznych wymogów eurourzędników i naszych miejscowych „pobożniejszych od papieża” prawodawców to, co w jednym miejscu jest nieszkodliwym „odpadem komunalnym”, w innym miejscu staje się „niebezpiecznym odpadem medycznym”, który zagraża ekosystemowi. Tymczasem, taka kwalifikacja „szpatulek, wzierników czy podkładów” powoduje poważne szkody w środowisku! Ktoś zapyta dlaczego? Otóż, taki odpad trzeba gdzieś zgromadzić, do tego są potrzebne worki, które trzeba wyprodukować, zwiększając niepotrzebnie efekt cieplarniany (o ile oczywiście coś takiego istnieje, a nie jest tylko wymysłem osób, które postanowiły zarabiać ciężkie pieniądze na czymś, czego nie ma).

Potem wymaga się, by odpady przechowywać w lodówkach, czyli znowu sumaryczne zwiększenie efektu cieplarnianego (o innych kosztach nie wspominając). Przechowywane odpady ktoś musi odebrać i zutylizować, spalając bądź sterylizując – tu znowu kolejne kilogramy CO<sub>2</sub> i koszty. Tymczasem te same rzeczy „wyprodukowane” w domu mogą być zutylizowane bez kosztownych i energochłonnych rygorów. Ktoś powie – głupota. Tymczasem – nie. To przemyślane działanie, uzasadniające istnienie tysięcy urzędników i przede wszystkim kolosalny biznes, który stworzono tam, gdzie „niczego nie było”.

W poprzednich ścinkach pisałem, że sprawą tą powinien zająć się rzecznik praw lekarza. I nadal tak uważam. Z tym, że sędzę, że jego starania powinny skłonić Naczelną Izbę Lekarską do działań mających na celu nie tylko zmniejszenie penalizacji zapisów ustawowych, lecz wręcz zaproponowanie Ministerstwu Ochrony Środowiska wprowadzenie przepisów wyłączających zwykle gabinety lekarskie czy stomatologiczne nie tylko z obowiązku prowadzenia ewidencji i sprawozdawania o odpadach do urzędu marszałkowskiego, ale także ze specjalnego traktowania tych „szpatulek i wzierników” i uznanie ich za „zwykle” odpady komunalne.